Wychodzi: *we Wtorek, Czwartek i Sobotę*

PRZEWODNIK

jako dodatek bezpłatny do Dziennika literackiego.

Dnia 31. Lipca. Nr. 29. Rok 1856.

* **Noc we wschodnich Indjach.** Znane są z licznych opisów nadzwyczajne zjawiska natury temu tylko krajowi właściwe, z których niejedno może zmienione fantazją kilkuset pokoleń przeniosło się aż do nas z odwiecznych podań narodów wyszłych z tamtąd na zaludnienie wielu kraju Europy (do tych liczą uczeni Litwę) i przybrało postać czarownej bajki.

Pułkownik *Aston* bawiący w czasie ostatnich wypraw angielsko-indyjskich w okolicy Szarwar opisuje zdarzenie przypominające nam żywo ustępy ze starych poematów indyjskich.

Znużony polowaniem, mówi *Aston*, rzuciłem się na ziemię zaścieloną wonnym kobiercem ziół tropikowych, by spocząć wśród snów na jawie, tak właściwych temu ciemnobłękitnemu niebu, tej narkotycznej wegetacji wśród wieczornego chłodu wiejącego jak lekkie tchnienie w powietrzu. Byłbym może spokojnie leżąc doczekał pory, gdy mi wracać wypadało do mego namiotu, lecz zbudził mnie przenikliwy krzyk pawia, lecącego ciężko ledwie łokieć nad ziemią tuż z po za mnie ku przeciwległym lasom.

— Mamże szukać złota, pomyślałem, czy puścić się za mądrym ptakiem?

Lud indyjski wierzy, że paw ma odrazę od złota, i gdzie tylko bliskość onego przeczuwa, wnet się zrywa pomimo swego lenistwa i odlatuje z takich miejsc. Lecz przypomniałem sobie oraz zdanie daleko prawdziwsze, że gdzie pawie tam i tygrysy nie daleko być muszą.

Nie strzelałem nigdy pawi, a chciwość myśliwego przemogła nad chciwością złota i przezorną ostrożnością; zerwałem się więc z mego miejsca i dopiero będąc w głębi lasu, postrzegłem, że tego właśnie miejsca należało najbardziej unikać. Strzeliwszy dwa razy spłoszyłem przepysznego pawia. Odleciał i zniknął.

Idąc za nim trafiłem na miejsce zacienione nad źródłem, a na piasku podejrzane ślady zwierzęcia. Wiem, że lampart i pantera lubią podobne miejsca, postanowiłem zatem wrócić. Ale zaledwiem postąpił ze czterdzieści kroków, gdy mnie głośne ryczenie ostrzegło o bliskim niebezpieczeństwie. Rzeczywiście ujrzałem niedaleko tego miejsca z kąd dopiero wstałem, dwie ogniste kule; były to oczy czatującego przy ziemi potworu, ukrytego za krzakiem akacji i chłostającego ziemię ogonem.

Ile mogłem obliczyć na pierwszy rzut oka, mogło być zwierzę o dwa kroki odemnie oddalone. Broń miałem nabitą, lecz nie kulami; po prawej ręce miałem kilka leśnych jabłoni, od których mnie dzieliła mała przestrzeń zkopana i zarzucona zdartą darnią i gałęziami. Najbliższa jabłoń wydała mi się stosownym punktem obrony, postąpiłem więc ku niej, lecz tu inne niebezpieczeństwo groziło; zaledwie bowiem stanąłem na porozrzucanej darni, zaczęła się uginać ziemia pod stopami i spostrzegłem, że stoję nad jamą pokrytą gałęziami i ziemią. Była to łapka na tygrysa, która mię uratowała od śmierci. Przeskoczyłem bowiem lekko to niebezpieczne miejsce, tygrys skoczył wprawdzie tuż za mną, lecz będąc już tylko na pół łokcia zbliżonym do mnie zapadł się tylną częścią ciała w jamę: przedniemi zaś pazurami zarył się w ziemię, na brzegu jamy. Wśród okropnego ryku czułem gorący oddech jego. Jego ogniste czerwone oczy tak dziwnie na mnie działały, iż musiałem pomimo odrazy i strachu mimowolnie ciągle patrzyć na tę okropną postać. Przytem widziałem, że już się z jamy wydobywał i niebezpieczeństwo się wzmagało. Z ostatniem wytężeniem sił moich podniosłem strzelbę i celując w oko zwierzęcia, wypaliłem. Tygrys runął z okropnym wyciem do jamy, ja zaś pełen dziękczynienia za ocalone życie padłem na ziemię, nie będąc w stanie trzymać się na nogach. Jednakże każda zwłoka była niebezpieczną.

Słońce już było bliskie zachodu. Ruszyłem więc z powrotem do domu, lecz niepamiętając dobrze drogi, zapuszczałem się coraz głębiej w las, aż wreszcie stanąłem przed wchodem do jakiejś jaskini, a obawiając się trafić znowu na siedzibę tygrysów lub innych podobnych stworzeń, zacząłem się drapać na pagórek, będący niejako sklepieniem jaskini. Musiałem się drapać rękami i nogami po śliskiej trawie, usłyszawszy zaś jakiś stłumiony odgłos mowy ludzkiej w chwili gdy się wstrzymałem by łepiej usłyszyć, ustąpiła ziemia podemną, ja wpadłem między towarzystwo ludzi, które nie mniej przestraszone odemnie powitało mnie ogromnym krzykiem i przekleństwami, wołając jedni: „Tygrys"! drudzy „djabeł" inni „strach."

Przyszedłszy wreszcie do siebie, postrzegłem iż się znajduję w towarzystwie dwojga ludzi i chłopca zajętych przy wiejskim ogniu destylowaniem przemyconego araku.

Opowiedziałem moją przygodę z tygrysem i ucieszyłem mocno biednych ludzi wiadomością o złapaniu tegoż. Przez wdzięczność za to, wskazano mi moją drogę od której odszedłem prosząc o zachowanie tajemnicy ich schronienia.

Idąc dalej zatrzymałem się zachwycony czarowną grą natury. Tysiące głosów najdziwaczniejszych obijały się o moje uszy, niezliczone owady, dzieci nocy, napełniały powietrze, które mnie przyjemnym chłodem pokrzepiało: smrodliwa zielona pluskwa plątała się we włosach moich, moskitosy brzęczały zgłodniałe około mnie, a duże białe ćmy pchały się uporczywie do ócz moich, mając je zapewne za jakąś błyszczącą łakotkę; świerki i szarańcze świerczały głośno w około, czasem się sowa zerwała, a przechodząc przez strumyk spłoszyłem stado dużych białych czapli wyglądających jak kolumna białych duchów. Z daleka gdzieś bąk zahuczał, a skrzeczenie żab dopełniało ten dziwaczny koncert, oświetlony śród ciemności firmamentu mnóstwem ognistych muszek, błyszczących jak latające djamenty, lub uwisłych po gałęziach jakby krople rosy djamentowej, rubinowej i szmaragdowej.

Nagle zciemniło się zupełnie, wszystkie głosy ucichły i światełka zgasły, jakby na rozkaz jakiejś niepojętej czarodziejskiej władzy, najgłębsza cisza i ciemność opanowała mnie; było to milczenie natury poprzedzające w tych krajach, zwykle wschód księżyca. Niepodobna było iść dalej, znużony więc i odurzony mocnym zapachem wiejącym wraz z chłodnym wiatrem od złocistego kwiatu drzewa *bebus*, (z którego gumę arabską zbierają), uwolniony wreście od prześladowań owadów zamyślałem zadrzemać, gdy coś koło mojej nogi zaszumiało i jakaś kończasta broń w kolano trafiła. Chwyciwszy się w tem miejscu za nogę nadybałem istotnie jakiś długi ostry kolec; myślałem zrazu iż to jest koniec strzały, lecz byłto tylko kolec jeża.

Płochliwe to i rzadkie zwierzątko zawadziło snać o moją nogę i pozbawiło się jednego z tych ładnych kolców używanych od Indjan do robienia ozdobnych koszyków.

Położywszy się wreście na suchej wonnej trawie, usnąłem tak twardo i słodko jak nigdy w mem życiu. Lecz we śnie już miałem dziwne przeczucie grożącego niebezpieczeństwa i czułem, iż dla uniknienia go najlepiej jest leżyć spokojnie zupełnie bez ruchu. Jakiś cień przesuwał się nademną a na nogach cieżył ogromny żyjący łańcuch tak iż niepodobna było ruszyć nogą. Dopiero gdym się zupełnie przebudził, dostrzegłem z największym przestrachem, iż wąż ogromny przytłoczył nogi moje aż po kolana.

Krew się ścisła w żyłach a wewnętrzu coś mówiło: „Ach Boże! jestem zgubiony." Wąż spał a ja drżałem, lecz

tylko wewnętrznie, gdyż obawa zbudzenia potworu niedozwalała najmniejszego ruchu. Wtem rozjaśniło się niebo, księżyc zeszedł i gwiazdy okazały się nademną, wtedy odważyłem się spojrzeć na okropnego śpiącego sąsiada. Lecz nowy strach przybył.

Usłyszałem dziwne mruczenie za sobą i głośne stąpanie, wąż się obudził i posunął się aż na moje piersi. Walka ze strachem przyprowadzała mnie prawie do szaleństwa, widziałem się już zgubionym. Wśród tej największej trwogi skoczyło coś na mnie, na ramię, a potem na węża. Zaczepiający począł przeraźliwie krzyczyć, wąż odpowiedział na to przenikliwym syczeniem. Chwilę czułem ich walkę na moich piersiach, lecz po chwili byli już koło mnie na trawie; wreście odsnnęli się dalej w zaciętej bójce. Był to ichneumon, wąż zwany, *cobra de capelo*; wstałem aby się przypatrzyć. Było już jasno jak w dzień. Chwilę stali naprzeciw siebie, lecz czarujący wzrok jadowitej gadziny, okazał się bezwładnym naprzeciw bystremu i przenikającemu spojrzeniu ichneumona. Rzucili się jeszcze raz na siebie. Ichneumon raniony odbiegł zapewne by znaleść roślinę, gojącą ukąszenie tego węża, ludziom dotąd nie znaną. Powrócił i nowemi siłami uderzył na węża, który w krótce, będąc dotychczas wyprostowany jak słup, padł bezwładny na ziemię z przytłumionym sykiem. Dziwny zwycięzca okazywał radość swoją tańcząc w najdzikszych poskokach po ciele swego przeciwnika, przyczem mruczał i parskał, na sposób wściekłego kota.

Teraz już prędko znalazłem drogę do namiotu; nie niepotrzebuję opisywać jak mi smakowała wieczerza, chociaż tak późno spożyta, i jak dobrze spałem po tych trzech przed północą przebytych przygodach.

*** Co kraj to obyczaj.** Jeden z ziomków naszych lekarz Z. przyjechał do Ameryki, chcąc się ustalić w Nowym Yorku czy gdzie indziej, bo mniejsza o miejsce. Najpierw najwszy pomieszkanie i kupiwszy meble, potrzebował usługi, bo nasz ziomek choć lekarz, ale szlachcic rodem, bez lokaja obejść się nie mógł. Już dosyć się nacierpiał, że w Ameryce nie znalazł ani jednego żyda faktora. Siedząc w oberzy przy table d'hote, zauważał grzecznego bardzo sąsiada, fesz ubranego, który z nim rozmawiał. Przyszło więc mu na myśl, zwierzyć się sąsiadowi z potrzebą lokaja.

— Jakto lokaja? zapytał grzeczny amerykanin.

— A takiego coby mi usługiwał w domu; ja bym chętnie dobrze zapłacił, ale żeby to był człowiek pilny wierny i trzeźwy.

— To być łatwo może. Ja sam mogę.

— Jakto pan dobrodziej chciałbyś.

— Zrobimy kontrakt... umówiemy się o zajęcie i cenę, i pan będziesz ze mnie zadowolony.

Lekarz zdumiał się nieco, ale szlachcicowi pochlebiało mieć tak porządnego lokaja.

Zrobili tedy najkompletniejszy kontrakt, wymówiwszy nawzajem wszystkie najdrobniejsze szczegóły, czasu i zajęcia. Amerykanin jak najpilniej wypełniał wzięte na się obowiązki, przychodził w czas, czyścił buty, suknie, zamiatał pokoje, aż miło tak porządnie i regularnie. Lekarz nie miał mu nic do zarzucenia; jedna tylko mu się rzecz nie podobała. Ozwała się w nim szlachecka natura, i zawadzało mu to że pan lokaj w niczem się przed panem swym nie żenuje, i tak sobie sans facon, siada kiedy mu się podoba, w negliżu przychodzi wielkim, ba nawet w czapce chodzi po pokojach, nieważając na obecność pana.

— Słuchaj no panie Willy; jestem zupełnie z ciebie zadowolony, ale uważasz, czybyś nie mógł usługiwać z gołą głową.

— Jakto bez czapki? spytał lokaj.

— A tak!... bo to jakoś nie przystoi.

— Nic łatwiejszego! odrzekł Willy. Dasz mi pan miesięcznie 5 dolarów więcej, a ja służbę moją bez czapki odbywać będę.

Lekarz przeważył szlachcica, i lokaj czapki przy służbie nie zdejmował.

Tak rzeczy czas jakiś stały, gdy razu jednego pan Z. ciekawością zdjęty poszedł na jakiś meetyng polityczny. Zdało mu się że spostrzegł tam swego lokaja, lecz nie był pewny tego Wróciwszy wszakże do siebie, po raz pierwszy zastał pokoje nie uprzątnione i nie zamiecione. Właśnie rozmyślał nad możliwą tego przyczyną, gdy nagle wpada Willy, zdyszany i spocony, i zawsze z czapką na głowie. Rzucił kilka dolarów na stół, i rzekł do zdumionego lekarza - szlachcica:

— Ja będę przez dni kilka zajęty, i zapewne nie będę mógł przyjść; za te dnie należyć się panu będzie trzy dolary, i te oto przynoszę, a zarazem postarałem się o zastępcę.

— Cóż za dódow?..

— U nas są teraz zgromadzenia wyborcze na deputowanych do kongresu.

— I chcesz być przytomnym?

— Naturalnie jestem wyborca, a nawet sam mam nadzieję, że zostanę wybrany deputowanym na kongres. Jeżelibym nie został wybrany, wrócę zaraz do pana pełnić dalej służbę moją. Jeżelibym jednakże został depntowanym, pan na tem nie stracisz, bo ja dam zastępcę na cały czas mojej politycznej missyi.

Nie było nic na to do powiedzenia. Pan Z. pomyślał tyjko sobie.

— Dziwne obyczaje! mój lokaj płatny przezemnie, nie chce czapki przedemną zdjąć, a jeżeli zostanie deputowanym, to ja będę podobno musiał czapkować przed nim.

*** Wiejskie sprawunki.** Niema jak robić cudze sprawunki! kto doświadczył tej przyjemności miejskiej odbierania zleceń ze wsi częstych a rozmaitych przypomni sobie zapewne, jakim wzrokiem spoglądał na listonosza wchodzącego z nowym ze wsi listem. Gdyby oczy były sztyletami, lub jad miały w sobie zabójczy, biedny listonosz wnet by skończył swój zawód. Pan X. był jednym z owych szczęśliwych ludzi, obdarzonych mnóstwem kuzynów i kuzynek na wsi mieszkających, którzy zupełne mieli w nim zaufanie. A wszyscy kuzynowie i kuzynki stare i młode (już to między kuzynkami zwykle stare i brzydkie przeważają) kochali go serdecznie, chwaląc na wyścigi jego grzeczność, poczciwość i usłużność. Niebyło tygodnia prawie, żeby pan X. nieodebrał nowego dowodu pamięci kuzynowskiej, który mniej więcej takiej bywał treści: „Najukochańszy kuzynku! Donoszę ci żem zdrowa, ale twój synek chrzestny na ząbki cierpi; niemniej przeto kochamy cię zawsze, i mój mąż także, który nie może zapomnieć lubego twego u nas pobytu. Mam też maleńką prośbę do ciebie; kup mi tam pięć łokci atłasu, w kolorze dzikim na mantylę, albo może lepiej lustryny, bo niewiem czyby aksamit nie był za ciężki. Wyobraź sobie że mój azorek od kilku dni nie zdrów i kicha. Może masz jakiego doktora co się zna na tem. Pójdź też tam do niego, i przyszlij mi co na to. To taki ładny piesek; pamiętasz jak z nami latał, i jak się łasił koło ciebie. Ale proszę ciebie mój kuzynku żeby nie był drogi a ładny i lustrowny; i mniejsza o jeden łokieć więcej. Za widzeniem się oddam ci pieniądze. Za widzeniem się! daj boże, by to jak najprędzej nastąpiło; wszak przekonany jesteś drogi kuzynku o przywiązaniu mojem którego przyjm najczulsze wyrazy." Następuje jeszcze postscriptum. „O niezapomnij krepinek łokci 15, i aksamitek także z 18 łokci. Co do atłasu, uważaj jaki kolor najmodniejszy i mnie do twarzy. Wszak najlepiej potrafisz to osadzić; nieprawdaż." i kończy się trzema wykrzyknikami.

Pan X. skrobał się w głowę, lecz cóż robić? jakże odmówić czułej kuzynce? Owoż razu jednego przychodzę do pana X. który prócz mnogich kuzynostw, jakby dla wynadgrodzenia miał mnogą klientellę, bo był doskonałym prawnikiem. Miałem z nim pomówić na osobności, lecz zastałem go zajętym, a zajętym dziwnie.

W salce dość wielkiej stało ludzi kilkunastu, którzy nie wyglądali na zwykłych klientów. Twarze zakazane ogo-

rzałe; wielka przewaga nosów czerwonych, a w ubiorach wyraźna tandeta. Lecz to nic jeszcze. Pan X. w szlafroku, biega jak szalony pomiędzy nich, mierzy każdego okiem naprzód, potem przysuwa się doń bliżej, i sznureczkiem coś mu koło pleców i brzucha przymierza. Rudy faktor kręci się koło niego powtarzając:

— Ten będzie dobry! adekurat! fein!..

— Głupiś! odpowiada pan X. Jak na złość pozbierałeś mi szczególną hałastrę.

— Ten za gruby! stan krótki!.. tu ręce za długie!.

I ciągle biega i przymierza, aż się spocił biedaczek.

— Dziwne zatrudnienie dla prawnika pomyślałem. Jużciż może mu się nieraz udało skroić komu kurtę, ale żeby się dla tego miał zajmywać krawiectwem. Może i przyjdzie do tego, ale teraz jeszcze dosyć roboty z indemnizacjami.

— Do niczego jesteś Moszku! krzyknął wreszcie zniecierpliwiony.

— Jak to do niczego odpowiedział faktor urażony; to jegomościna miara winna.

— Zabierz ich sobie i przyprowadź innych, ale prędzej.

— Dziękujemy jegomości za łaskę! ozwał się jeden ze zmierzonych, ten właśnie co miał ręce długie, a nos karmazynowy. Ale my sobie niemało czasu zmarnowali... a to człowiek na czczo.

— Oj prawda! powtórzyli wszyscy chorem uśmiechając się i drapiąc w głowę.

— Daj im tam Moszku na wódkę! krzyknął pan X. i po wyjściu gości swoich rzucił się na sofę, ocierając czoło.

Zdziwiony i ciekawy spytałem go co to ma znaczyć?

— Lokaja dobieram dla mego wujaszka z Przemyskiego.

— Jakto do miary?..

— A jużciż do miary. Wujaszek ma tam jakąś liberję na kołku, i prosił mnie bym do niej dobrał człowieka na lokaja.

— A to miłe zajęcie! winszuję ci!...

I głośnym oba parsknęliśmy śmiechem.

* Tego roku nadzwyczaj liczny zjazd jest w Truskawcu. Przeszło 1200 osób bawi tam w kąpielach.

Przyjechali do d. 28. lipca do Lwowa.

PP. Felix hr. Karnichi z Rożniowa. Wawrz. Sosnicki z Radziechowa. Jan Michałowski z Zadworza. Ambr. Neupauer z Lubienia. Wład. Augustynowicz z Kniaz. Fr. Leszczyński z Przemyśla. Hel. Alexiewicz z Nemczak. Jan Busse z Krakowa. Ant. Stasicki z Lubienia. Leop. hr. Starzeński z Podkamienia. Edw. hr. Dzieduszycki z Budyłowa. Karol Kröbl z Stynaw. Alexander i Michał Gnoińscy z Druszkopola. Wład. Lewakowski z Mikołajowa. Julian Czermiński z Glinska. Raf. Łępkowski z Czaszyna. Piotr Smarzewski z Moczerad. Mik. Horoszkiewicz z Krysowic. Mich. Wartarasiewicz z Pragi. Tytus Komar z Krakowa.

PP. Stanisław Sobieski z Żołkwi. Ludw. Croise z Przemyśla. Jan Łukasiewicz z Pragi. Jul. Horoskiewicz z Łopatyna. Teod. Ziemiałkewski z Somenowa. Jan Kokowski z Berezowicy. Wikt. Wisznidwski z Strzelisk. Adolf Schmidt z Wisienki. Ign. Piechowski z Sokala. Teofil Januszewski z Ubińca. Fel. Pietrzycki z Stanisławowa. Jakob Sawczyński i Jan Towarnicki z Jaworowa. Ludw. Mayer z Lubienia. Edw. Bogdanowicz z Krakowa. Jan Thulie z Rzepniowa. Mat. Szarga z Mikołajowa. Karol Jagielski z Jabłoniey ruskiej. Fel. Skupiński z Żydaczowa. Hugo Firich z Średniej wsi. Tomasz Kochański z Lacka.

Wyjechali do d. 28. lipca ze Lwowa.

PP. Józ. Podlewski do Brzeżan. Józ. Zawadzki i Gabr. Jaryczewski do Tarnopola. Felix Oelberg. Jakób Sawczyński i Jan Towarnicki do Janowa. Kar. Paszelski do Suszna. Leon Sosnowski do Zadworza. Jan br. Brunicki i Fryd. br. Rothenberg do Żołkwi. Henr. Ernstein do Krosienek. Edw. Bogdański do Zabłotoma. Wład. Zawadzki do Przemyśla. Henr. hr. Mier do Derewacza.

PP. Piotr Karaszyński do Welina. Lud. Niezabitowski do Nakła. Adam Kowalski do Birczej. Wen. Cieszanowski do Stempkowej. Edw. hr. Krasicki do Liska. Fel. hr. Czacki do Krechowa. Osw. Mochnacki do Zaścianki. Kaj. Eminowicz do Smerekowa. Jan Skałkowski do Stryja. Jan hr. Dzieduszycki do Siechowa Piotr hr. Krasiński do Rohatyna. Wład. Strzelecki do Zarwanicy. Jul. Czermiński do Glińska. Raf. Łękowski do Czaszyna.

Kurs telegrafowany z Wiednia 28. lipca.

Augsburg za 100 złr.	102 5/3	Pożyczka 5% . . .	83 9/16
Hamburg za 100 tal. branco	75 1/2	Akcye banku	1093
Londyn za 1 funt szterl.	10.4	Kolej północna . . .	2850
Medyolan za 300 lirów	102 1/2	Obl. ind.	77
Paryż za 300 franków	119 3/4	Nowa pożyczka z loteryą	105 1/2
Agio duk. ces. . . .	7 1/8	Pożyczka narodowa .	85 1/16

Dzisiejszy kurs lwowski.

	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Dukat holenderski	4	40	4	45
Dukat cesarski	4	46	4	50
Półimperyał zł. rosyjski	8	12	8	18
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	35	1	36
Talar pruski	1	29	1	31
Polski kurant i pięciozłotówka	1	9	1	10
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	81	40	82	10
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	76	15	77	40
5 proc. pożyczka narodowa	85	—	85	30
Śrebro	—	—	—	—

INSERATY.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę: W. MANIECKI.

W drukarni zakładu narodowego im Ossolińskich.